Rok IX^ty. Nr. 17.

Szkółka  niedzielna

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela piąta po Wielkiéj nocy,* dnia 27. Kwietnia 1845.

Religia.

Cudowny jest Pan Bóg w swych dziełach.

Kasper i Kordula Lipdomscy.

(Dalszy ciąg.)

Anzelm zostawał bez przerwy rok cały u przyjaciela swojego ojca i majstra w stolicy, od którego bardzo wiele korzystał w sztuce swego rzemiosła, doznając uprzejmego obchodzenia się z sobą. Troskliwy ojciec najlepsze odbierał wiadomości i świadectwa o sprawowaniu się i pilności Anzelma. Przy końcu tylko oświadczył się w liście do ojca majster, że Anzelm, dla swego żywego temperamentu i jakowéjsiś lekkomyślności, łatwo mógłby być zwiedziony z drogi cnoty, skoroby miał wolność i przystęp do złych kompanij; prócz tego zaś, żadnego innego i najmniejszego doniesienia nie odebrał ojciec ze stolicy.

Po upłynieniu roku udał się Anzelm z dwoma innymi czeladnikami za granicę, do Austryi, lecz piérwéj zawiadomił o tém rodziców, nim wszedł w układy z majstrem w Peterwardein, w Węgrzech. Obchodząc Węgry i państwo austryackie, całe dwa lata nie zgłosił się wcale do rodziców z zawiadomieniem, gdzie się znajduje. Mocno tedy rodzice byli o niego skłopotani, a nie wiedząc, gdzie jest, i czy żyje jeszcze, nie mogli do niego pisać. W końcu odebrali wiadomość, cudzą ręką pisaną, to jest majstra Froelicha z Pest. Ten przypadkowo w sypialnéj komnacie Anzelma przeczytał przestrogi i rady, jakie mu dał ojciec na piśmie na jego wędrówkę. Rady te, czułe wrażenie na jego sercu sprawując, pobudziły go do doniesienia ojcu, że jego syn Anzelm już od znacznego czasu wdaje się w złe kompanie, któreby go mogły zupełnie zepsuć, jeżeli co prędzéj z nich wyrwany nie zostanie. Radził więc ojcu, aby pod jakim pozorem powołał syna do domu. Łatwo się domyślić, jak zasmuciło to doniesienie rodziców. Bez zwłoki pisał ojciec do zacnego majstra i razem do syna, i zobowiązał go, aby natychmiast wracał do domu. Usłuchał i w dwanaście dni stanął w domu; ale dobrzy rodzice naoczne spostrzegli na nim ślady jego zdziczałości, tak dalece, że przy wielkiéj usilności słabą mieli nadzieję, czy go potrafią zwrócić do dawnéj rządności i układności. Tak mu głęboko utkwił świat wesoły w głowie, że rodzice często między sobą mówili: „jeżeli się Bóg sam nie zmiłuje, to Anzelm już zgubiony. Prawda, że biegły

wrócił w swojém rzemiośle, ale z obcych krajów złe obyczaje przyniósł do domu.“

Pobór wojska.

Ledwie rok upłynął po powrocie Anzelma do domu, gdy powstała powszechna wojna, na którą wszystka młodzież, od dziewiętnastu do trzydziestu lat, powołaną została. Między innymi w miasteczku, padł także los i na kowalczyka Anzelma. Ten traf w gruncie serca ucieszył go, że będzie mógł dawnéj wolności kosztować, i jako wojak chodzić po świecie. Ojciec i matka, jako bogobojni rodzice, poddali się wprawdzie rozrządzeniu Boskiemu, to przecie w nich żałość wzbudzało, że w tym czasie tracili syna, kiedy im jego pomoc w rzemiośle była bardzo potrzebna, a tém bardziéj jeszcze, że się słusznie lękali, aby się wśród rozwiozłych żołnierzy zupełnie nie zepsuł. Że przecie tego już zmienić nie było w ich mocy, zdali się zupełnie na wolą Boga, polecili go Jego opiece, a tymczasem młodszy syn Konrad był ojcu w rzemiośle pomocą.

Między innemi naukami, które mu i tą razą przy odejściu do wojska dali rodzice, te trzy były istotne: aby zawsze pamiętał na obecność Boga, żeby żadnego dnia nie opuścił modlitwy, i żeby się nie wdawał w złe kompanie. Odszedł tędy Anzelm, a od téj chwili przez całe trzy lata nic o nim nie słyszeli rodzice. Nie mogli do niego pisać, bo nie wiedzieli, w którym regimencie i gdzie stoi. Dopiéro po trzech latach, gdy się dowiedzieli, że ich syn o pięćdziesiąt mil w pewném miasteczku na załodze zostaje, podyktowała matka Konradowi następujący list do niego:

„Anzelmie! najukochańszy nasz synu!

„Nie wiemy, co mamy myśleć, że już od trzech lat najmniejszéj wiadomości nie dajesz o sobie. Jak nas wieści dochodzą, znajdujesz się teraz na załodze, gdzie zapewne tyle czasu mieć możesz, abyś nas sobie przypomniał. Żądamy i nakazujemy ci, abyś do nas napisał i doniósł, jak ci się powodzi, i czy w jakowéj batalii ranny nie zostałeś. My wszyscy mocno się o tobie kłopocem; przecie jeszcze nie musiałeś zupełnie zapomnieć o rodzicach, a myślim, że i te przestrogi zachowałeś w sercu, i wypełniasz je w życiu, które ci z taką miłością daliśmy przy odejściu do wojska. O jakby to nas martwiło, gdybyś powtórnie miał znieść z drogi cnoty i wdawać się w złe kompanie! Ach! sama ta myśl wtrąciłaby nas do grobu! Ufamy przecież, żeś wierny przyrzeczeniom pozostał. Przetoć nas zaspokój, i pisz natychmiast. Z największém utęschnieniem czekać będziemy na list od ciebie. Polecamy cię Bogu i opiece świętego Anioła stróża.

Kasper i Kordula.“

Na ten list wcale nie odpisał Anzelm; rodzice przecież inną drogą otrzymali o nim wiadomość, ale bardzo zasmucającą. Żołnierz, rodem z tegoż miasteczka i w tymże regimencie stojący co Anzelm, przyszedł na urlaub, i ten opowiadał, że Anzelm żyje w prawdzie, i jest zdrowy, ale się obawiać trzeba, aby za swoje bałamutne życie nie został napiętnowany i wypędzony z wojska. Łatwo sobie wystawić, jakim żalem i zmartwieniem ta wieść przejęła Lipdomskich. „Czyż to podobna,“ rzekł ojciec, „aby nasz Anzelm tak daleko zapomniał się i zabrnął!“ — „O gdyby był raczéj umarł na wędrówce!“ zawołała matka, załamując ręce i płacząc. Ojciec: Nie płacz, kochana żono, i ten krzyż przyjmijmy w cierpliwości, z uległością, z litościwéj ręki Boga, a nie narzekajmy na Jego świętą opatrzność. —

Matka: To prawda, kochany mężu, odpowiedziała Kordula; twoja uwaga jest bardzo słuszna, i w tym nawet razie powinniśmy się poddać Jego świętym rozporządzeniom, a z głębi serc, zupełnie zdających się na Jego wolą świętą, przemawiać: bądź wola Twoja święta! — Ojciec: Ale, droga żono, cóż teraz poczniem? jakże sobie postąpim? — Tu się na chwilę zamyślił, potém rzekł: wiész co, kochana matko! pewnie wypadnie odżałować kilka dni, zwłaszcza, że teraz nie mamy pilnéj roboty: jeżeli nie będziesz przeciwna temu, to ja sam udam się na miejsce, gdzie nasz syn na załodze stoi, i dowiem się naocznie, czy w saméj rzeczy tak jest; boć jednak obojętnymi być nie możem na jego obłąkanie; powinniśmy, póki żyjem, pracować nad jego poprawą. — Matka: Dobrze, kochany mężu! idź w imię Boskie, a ja tu, ile zdołam, krzątać się będę z dziećmi, modlić się za was, i czekać z utęsknieniem twojego powrotu.

Uradzono tedy podróż i oznaczono dzień do niéj, to jest następującą niedzielę. Od téj chwili nie upłynęła żadna godzina, w któréjby matka stroskana nie przesyłała do Boga smutnych westchnień i czułych modłów. „Teraz,“ rzekła do męża, „ach teraz, kochany mężu, Bóg nas nawiedził najcięższém zmartwieniem. Łatwiéjby mi było znieść wszystko, jak to, że nasz syn, tak troskliwie chowany, przyuczony chodzić drogą cnoty i świątobliwości, został uwiedziony na bezdroża występne. Przecież ufam w dobroci Boga, że jeszcze i teraz okaże miłosierdzie nad nami,“ a złożywszy ręce i wzniósłszy je do nieba, dodała czułym głosem: „Bądź wola Twoja święta, o Boże!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pokój ci!

Gdy się odprawia Msza święta przy usłudze Dyakona i Subdyakona, jak nazywają teraz z asystą; wtedy Celebrujący udziela pokoju przez uściśnienie, (dawniéj i ucałowanie) przed modlitwami poprzedzającemi Baranek Boży. Zwyczaj ten bierze swój początek od Apostołów i ciągłém podaniem zachowuje się w kościele świętym. Apostołowie znak pokoju czynili przez pocałowanie, i wiernym swoim udzielać go wzajemnie nauczali; lecz to rozumieli za święte pojednanie się, i pocałowanie pokoiu za święty uczynek mieli, jak ś. Paweł, pisząc do Rzymian, wyraża się: „pozdrówcie jedni drugich z ucałowaniem świętém.“ *) Innocenty piérwszy, Papież, który przydał we Mszy ten wiersz: pokój Pański niech będzie zawsze z wami, (pax Domini sit semper vobiscum) ustanowił także, aby w czasie Mszy przed kommunią dawano znak pokoju przez święte ucałowanie. Kapłan tedy, całując ółtarz lub kielich, albo samo ciało Chrystusowe, jak to w Francyi trwało do roku 1608, na znak tego, że wziął pokój od Chrystusa, dawał go Dyakonowi, całując i mówiąc: pokój ci bracie i kościołowi świętemu Bożemu; a Dyakon odpowiedziawszy: i duchowi twemu; dawał tedy Subdyakonowi, ten bliższemu Klerykowi; od Kleru koleją przechodziło to aż do wiernego ludu. W późniejszych wiekach ustanowiono, dla wdzierających się nadużyć, aby tylko przy ółtarzu między Kapłanem i jego ministrami taki czyniono porządek dawania znaku pokoju; a dla Kleru i całego ludu ucałowaną przez kapłana i ministrów jego tablicę pewną, którą dziś nazywamy: Pacyfikał, dawano do ucałowania. — Dzisiaj znak pokoju odbierają wierni, gdy przed kommunią Kapłana obchodząc wielki ołtarz, idą, jak mówią, na ofiarę, i całują krzyż. —

*) Rozdz. 16. w. 16.

Chodzenie zaś na ofiarę w czasie Mszy ś., co powinno po Ewangielii następować, a co teraz i zbieranie ofiary w dzwonek zastępuje, przypomina zwyczaj pierwiastkowych Chrześcian, którzy z domów przynosili do kościoła chleb i wino, potrzebne do Mszy ś., w czasie któréj wszyscy kommunikowali, i takowe rzeczy składali przy óltarzu, jako ofiarę. Co zbywało od potrzeby do Mszy ś., rozdzielano między Kapłanów i ubogich.

O szkodliwych i nieszkodliwych gadach krajowych.

(Dokończenie.)

Żmija. U żmii w dziąsłach szczęki dolnéj i na podniebieniu znajdujemy drobne, gęsto ustawione ząbki; zaś w dziąsłach szczęki górnéj nie ma drobnych ząbków; miejsce ich zastępują długie, łukowate, kłom podobne, białe zęby, które się w rowki tychże dziąseł chowają, i płatkiem skóry zakrywają. Mają ciało lekko spłaszczone. U obojętnéj i zabitéj żmii nie widzimy owych długich zębów, bo są w dziąsłach pod zasuwającą się skórą ukryte; lecz rozdraźniona, otwierając paszczę dla ugryzienia, nasroża wspomnione kły, których u młodéj żmii liczymy tylko dwa, to jest: po jednym z obu stron; przeciwnie u starszych będzie ich po dwa lub po trzy na obu stronach. Te to właśnie ruchome zęby, lubo nie grubsze od igły angielskiéj, są jednak rurkowato przedziurawione, i tak na gruczołach, jadowitą ciecz wyrabiających, osadzone, że żmija w chwili kąsania naciskając nasadą owych zębów na gruczoły pod nimi będące, wyciska z nich jad, i rurką zęba do rany wlewa. Chcąc się o tych zębach u zabitéj żmii przekonać, potrzeba igłą lub szpilką w górném dziąsłe zaważyć. Ostrzegam jednak, że to doświadczenie ostrożnie robić należy, ażeby się końcem podniesionego zęba w palec nie zakłuć; bo jad nieżywéj żmii tak jest niebezpieczny, jak żyjącéj, i te same sprawia skutki, skoro się do rany dostanie. Tak więc owe szczupłe zęby stanowią straszną broń, która w prawdzie tylko tak małe zadaje rany, jak ukłucie szpilką, lub igłą; lecz te jakkolwiek niepozorne dziurki, wzniecają w okamgnieniu potężne zapalenie, przechodzące w nagłe i gwałtowne zapuchanie ciała na około otrzymanych ranek; a ta puchlina szerząc się po ciele, z trudnym do opisania pośpiechem sprowadza niebawnie gorączkę ranionéj osobie. Im pora roku jest goręcsza, a skaleczona osoba delikatniejszego zdrowia, tém skutki jadu żmii są niebezpieczniejsze. Połknięcie natychmiast kilka łyżek oliwy i nacieranie ciała naokoło ran maścią ammoniakalną, zwaną Linimentum volatile, poskramia szerzenie się jadu. W niedostatku tych środków, moczenie zranionéj części ciała w mleku siadłem, okładanie rany rozdzieranemi żabami, lub kwaśném ciastem, i gaszenie pragnienia świeżą serwatką lub limoniadą, przyniesie ulgę choremu, nim się lekarza sprowadzi. Nieświadomi rzeczy lękają się owéj czarnéj listewki, którą gady wężowate z gęby często wysuwają. Obawa ta jest płonną; bo ta listewka jest ich językiem, którym nic złego zrobić nie mogą. W naszym kraju znamy pięć gatunków żmii, z których żaden dłuższym nad trzy ćwierci łokcia nie bywa. Stósunkowo do takiéj długości, są one znacznie grubsze od wężów. Cztery z nich bure lub rude, poznajemy łatwo po ciemno-brunatnéj, niby z parzystych węzłów złożonéj smudze, która się ciągnie wzdłuż całego grzbietu, (jak to pokazuje w przeszłym Nrze Figura 2.) Piąty gatunek jest jeszcze lepiéj odznaczony, gdyż cały jest ciemnoczarny, a wargi ma czysto białemi kropkami upstrzone. Tych więc pięciu gatunków żmij strzedz się potrzeba, one to wytępiać należy. Żmije są istoty leniwe. Pełzają powoli, czyniąc wschodkowate zwroty w poruszeniach ciała; lecz rozdraźnione, rzucają się nagle, jak łyskawica, a ukąsiwszy przedmiot swój złości, wracają do zwykłych leniwych poruszeń. Żyją zwyczajnie na miejscach odległych od wody. Szczególniéj lubią gęste, ciernisto zarośla, zaniedbane kupy kamieni w polach, i urwiska skał. Rzadziéj je napotykamy na miejscach niskich i wilgotnych. Żywią się najwięcéj owadami i ropuchami. Samica wydaje co rok od pięciorga do ośmiorga żywych żmijąt na świat, a towarzysząc im przez całe lato, z wściekłością rzuca się na każdego, kto się do nich zbliży. To więc podanie, że się młode żmije z brzucha swéj matki wygryzają i jéj życia pozbawiają, jest niedorzeczną bajką, jak równie i to mniemanie, że pocięta w kawałki, nie tylko żyć nie przestaje, ale każdy z tychże kawałków rozrasta się i tworzy nową żmiję. Do téj bajki mogło być to powodem, że zabity gad wężowaty, aż do zachodu słońca ruszać się nie przestaje. W niektórych okolicach Polski nazywają żmiję gadziną i z tąd zapewne powstało przysłowie: „złośliwa gadzina, używana przeciw oszczércom." — Padalec. Padalce stanowią trzeci rodzaj między gadami wężowatemi, który od dwóch poprzedzających dostatecznie jest odróżniony. (Zobacz w przeszłym Nrze Fig. 3.) U padalców ciało w całéj prawie długości ma jednaką grubość, bo dopiero w końcu ogona postrzegamy cokolwiek zeszczuplenia; pokryte jest wszędzie jednakiemi, drobnemi łuskami, język ich jest niewysuwalny, a otwór gęby ciasny. Te, podobnie jak węże, zupełnie niewinne istoty, są zwykle rudawe, lub jasno-orzechowego koloru, lekko połyskujące i zupełnie okrągłe. Rozmnażają się, wydając żywe dzieci na świat. Żyją na miejscach nizkich, wilgotnych i bagnistych. Pełzają bardzo powoli. Żywią się najwięcéj dżdżownikami, czyli tak nazwanemi glizdami ziemnemi, tudzież owadami i liszkami, i gąsienicami; czynią więc lasom i łąkom wielką przysługę, wytępiając istoty szkodne. Dorastają pół łokcia długości. Ciało padalca jest tak kruche, że uderzone prętem, rozpada się w kawałki; ta okoliczność zjednała mu nazwisko, które jednak między pospólstwem inne utworzyło wyobrażenie. Powszechnie bowiem utrzymuje ono, że pokalawszy sobie ciało krwią zabitego padalca, będzie się w tych miejscach rozpadać, czyli pękać, otwierając coraz nowe, a trudne do zagojenia rany. Jest to prawda zupełnie mylne podanie, ale ma tę zaletę, że nie jeden, z obawy opryskania się krwią tego niewinnego gadu i nabawienia się takich ran, spokojnie go ominie i zostawi przy życiu istotę pożyteczną.